

Trudno mi sobie uzmysławić, jak żyłem, zanim poznałem Candy. Czasem siadam i godzinami myślę o przeszłości, usiłując wydobyć tamten czas z pamięci; nigdy mi się nie udaje. Tak, jakbym bez niej w ogóle nie istniał. Udaje mi się cofnąć zaledwie pół godziny przed naszym pierwszym spotkaniem; ostatnie chwile mojej egzystencji sprzed Candy, kiedy jeszcze byłem po prostu chłopcem... chłopakiem w pociągu, chłopakiem z chorą ręką, chłopakiem w dziwnej czarnej czapce.

Wtedy byłem niewinny.

Byłem po prostu chłopcem.

W pociągu.

Z chorą ręką.

W czapce.

To był cały świat, który znałem.

Czwartek, szósty lutego, mniej więcej piąta po południu. Prawie pusty podmiejski pociąg do Londynu. Wagony mijające nas po sąsiednich torach po sam dach wypełniał tłum ludzi, wracających do domu po ciężkim dniu pracy. Tymczasem moimi jedynymi współpasażerami byli robotnicy z nocnej zmiany, pijany facet w garniturze i kilka imprezo-

wych panienek wcześniej ruszających na podbój miasta, by weselo spędzić noc. Właściwie nie mogłem ich zobaczyć — siedziały gdzieś za mną — ale słyszałem ich chichot, śmiech i piski, jakby chciały wszystkim pokazać, jak świetnie się bawią. Trudno było ich nie słuchać, trudno tym bardziej, że zaczęły szeptać na cały głos:

— Żałuj, że go nie widziałas, Jen, TAKI...

— Wymyślasz!

— Dziewczyno, mało mnie nie zabił!

— Neeee!

Kiedy wsiadały do pociągu — przystanek po mnie — skuliłem się na siedzeniu i zacząłem wyglądać przez okno. Byłem prawie pewny, że mnie nie widzą. One siedziały daleko z tyłu, na samym końcu wagonu, ja pośrodku, ale mimo wszystko nie chciałem ryzykować. Wiecie, jak to jest — one jechały w szóstkę, a ja sam jeden... Wszystkie odstrzelone, popisywały się, musiały być po kilku drinkach... a ja po raz pierwszy włożyłem nową czapkę, jeszcze się w niej trochę dziwnie czułem, no i nie byłem przez to zbyt pewny siebie... Domyślałem się, co by się stało, gdyby mnie zobaczyły... Jedna by coś powiedziała albo coś zrobiła — tak tylko, dla żartu — ja poczułbym się zakłopotany, to by je tylko podkreśliło, żeby pójść jeszcze dalej, a ja wpadłbym w jeszcze większe zakłopotanie...

Nieważne; kiedy wsiadły do mojego wagonu, zrobiłem to, co zrobiłem; skuliłem się na siedzeniu, żeby nie rzucać się w oczy, oparłem głowę o szybę i oglądałem mijany świat.

Przez większość drogi spoglądałem przez szybę.

Na dworze szarzało, a widoki nie były zbyt interesujące — blokowiska ciągnące się wzdłuż torów, szeregowie domki, hurtownie, parki, a w oddali migające światła miasta. Po chwili znudzony monotonnym widokiem zacząłem wsłuchiwać się w stukot i szum pociągu, w rytm wybijany przez koła: to-to-tak, tak-tak-tak, to-to-tak, tak-tak-tak... W głowie układałem piosenki.

Wtedy robiłem to niemal na okrągło — w każdej możliwej chwili pisałem teksty, w myślach wygrywałem akordy, słyszałem muzykę...

To nadawało sens mojemu życiu.

Było dla mnie ważne.

Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś znów będzie.

Pociąg zbliżał się do stacji Liverpool Street, a ja wciąż wpatrywałem się w widok za szybą i wsłuchiwałem w odgłosy wagonu. Konduktor przypomniał przez głośniki, by nie pozostawić w pociągu bagażu, dziewczyny zanosły się śmiechem, słysząc jego azjatycki akcent, a pozostali pasażerowie wstawali, sięgali po torby, przygotowywali się do wyjścia. Pociąg toczył się starym ceglany, zaśmieconym tunelem, wzdłuż którego biegły kable i jakieś przewody. W ścianach co kawałek znajdowały się ciemne wgłębienia; małe, zacieńnione nisze, jak tunele w tunelu. W niektórych stały rzeźby — dziwne, skulone postaci uwięzione w otaczających je ceglach, a ich zniszczone przez wiatr twarze porastał drobny fioletowy mech. Kiedy je mijaliśmy, leniwie myślałem, czym były naprawdę — pradawnymi dekoracjami, pozostałościami po czymś? Bogami kolei? I co w ogóle tam robiły? Jaki sens ma ustawianie rzeźb w ciemnym tunelu kolejowym?

Łamałem sobie nad tym głowę, kiedy pociąg zwolnił, ciemność się rozrzedziła i w końcu z sykiem i piskiem hamulców zatrzymaliśmy się zalani białym światłem peronu.

Pszszszsz...

Stuk.

Aaaachchch...

Przepuściłem innych. Piszczące i chichoczące imprezowiczki utorowały sobie drogę na peron i ruszyły wzdłuż torów, a ich wysokie obcasy wypełniły głośnym staccato całą stację. Ukradkiem przyjrzałem im się przez okno. Zaskoczyło mnie, jakie były młode. Przysłuchując się ich rozmowie, myślałem, że mają około dwudziestki, rok mniej albo wię-

cej, a tymczasem nie mogły mieć więcej niż piętnaście, szesnaście lat — przez chwilę poczułem się nieswojo. Niby były w moim wieku... ale w jakiś sposób wydawało mi się to niemożliwe, nie wiem ani jak, ani dlaczego; nie czułem się od nich starszy, ale też nie czułem się młodszy.

Czułem się inny.

Przez moment zastanawiałem się, dokąd idą, co zamierzają robić i co je czeka nad ranem — miłość, seks, szczęście, zapomnienie, pijackie uderzenie w twarz?

Potem podniosłem torbę, poprawiłem czapkę i wysiadłem z pociągu.

Halę zalewał tłum podróżnych, hordy pracowników spieszących na pociąg, pchających się, walczących o miejsca. Były ich tysiące; wylewali się strumieniami z ulic i z metra niekończącym się potokiem ciemnych garniturów, teczek i zaciętych, zmęczonych twarzy. Migracja napędzana obłędem. Panował niewyobrażalny hałas — tętniąca kakofonia szurających stóp i ryku tłumu, ogłoszeń przez megafon, krzyków kolejarzy, syku pociągów, pisku kół, metalicznego kliku tablicy przyjazdów i odjazdów — wszystko zlewające się w potężny, głuchy grzmot, który jak wrzask milionów ptaków wirował i wznosił się w kierunku szklanego dachu.

Starłem się przejść halę najszybciej, jak mogłem — co chwila gwałtownie skręcałem, lawirowałem, walczyłem z unoszącym mnie prądem — kierując się w stronę metra. Walka na łokcie, potop tępych twarzy i nieustająca kakofonia. Nie zatrzymywałem się — pokonałem bramki, korytarz, przebiegłem pomost, zszedłem po schodach — potem sprint i w ostatniej sekundzie stałem się jednym z wielu pasażerów w pociągu linii Circle Line zmierzającym w ciemność.

Oparłem się o drzwi, gwałtownie łapiąc powietrze, otarłem zimny pot z czoła i spojrzałem na wiszącą na ścianie mapkę: Liverpool Street, Moorgate, Barbican, Farringdon, King's Cross.

Cztery przystanki.  
Niedaleko.  
Niedaleko do końca.  
Niedaleko do końca chłopięctwa.

Zawsze kiedy wybierałem się do Londynu, wstydziłem się, że muszę korzystać z mapki z nazwami ulic i miejsc. Wiem, że to głupie, bo to nie powód, żeby czuć zażenowanie. To tylko mapa, na Boga. Jeśli się nie zna drogi, bierze się ze sobą mapę, prawda? Co w tym złego? To najrozsądniejsza rzecz pod słońcem.

Ja to wiem.

Tylko że... chyba boję się obciachu. Londyn jest cool. Londyńczycy są cool. Nie chcę, żeby ktoś na mnie patrzył jak na głupka ze wsi.

Oj, sami wiecie, o co mi chodzi.

Tak, to żalosne. Ale bycie żalonym nie jest takie straszne, są gorsze rzeczy.

Koniec końców, nie wyjąłem z kieszeni zawiniętej w reklamówkę Tesco mapki, i dlatego gdy wyszedłem ze stacji King's Cross, nie miałem zielonego pojęcia, w którym miejscu się znajduję. Wiedziałem mniej więcej, gdzie powinienem być i dokąd powinienem iść, ale nie wyszedłem wyjściem, którym zakładałem, że wyjdę, i straciłem orientację. Chciałem znaleźć się na Pentonville Road, bo sprawdziłem już wcześniej, gdzie to jest, ale tylko w stosunku do Euston Road, biegnącej wzdłuż głównego wejścia na stację. Tyle że nie wyszedłem głównym wejściem, tylko jakimś bocznym. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem tylko chaos: samochody, autobusy, taksówki, pędzące motocykle, błyskające światła, roboty drogowe, dźwigi, place budowy, przejścia dla pieszych, słupki, skrzyżowania, jeszcze więcej podróżnych, bezdomnych, obłąkanych, bladych hipisów z długimi, brudnymi włosami i strupami na twarzach...

Tego wszystkiego nie było na mapie.

A ja nie chciałem wyjmować jej z kieszeni. Dookoła było zbyt wielu ludzi, a ja, jak imbecyl gapiąc się na światła i hałas, ani trochę nie czułem się cool. Równie dobrze mógłbym wyskoczyć w starym brudnym waciaku, drelichach, ze źdźbłem trawy w ustach i dodatkowo małą świnką u stóp... małą świnką na poszarpanym sznurku...

Orząsałem się, cofnąłem i oparłem o ścianę, by zebrać myśli. Musiałem chwilę się zastanowić, wciągnąć do płuc gumowy smród autobusów, zakrzusić spalinami... rozejrzeć się, myśląc o tym i owym, znów się rozejrzeć... patrzeć, patrzeć, patrzeć... myśleć, myśleć, myśleć... i po chwili wiedziałem już, co mam zrobić. Było to takie proste, że poczułem się jak idiota, że wcześniej na to nie wpadłem. Żeby ustalić, gdzie się znajduję, musiałem skierować się w stronę głównego budynku stacji, który wyrastał mi za plecami, i ruszyć jeszcze raz, ale tym razem zacząć od niego.

Nie było na co czekać.

Poszedłem ulicą w górę, skręciłem na rogu i proszę bardzo — stałem na szerokim wybetonowanym placu upstrzonym budkami telefonicznymi i automatami z gazetami — dokładnie przed głównym wejściem przy Euston Road.

Bułka z masłem.

Teraz Euston Road...

Tylko... zaraz, w którą stronę?

W tę?

A może w przeciwną?

W lewo czy w prawo?

Zacisnąłem powieki, starając się przypomnieć sobie przewodnik. Miałem go tuż przed oczyma, z wszystkimi ulicami, tylko że mapa w mojej głowie była odwrócona do góry nogami. Stacja znajdowała się po niewłaściwej stronie ulicy. No dobrze, powiedziałem sobie, jeśli ulica jest na mapie do góry nogami, muszę po prostu pójść w przeciwnym kierunku. Jeśli jesteś po tej stronie, która jest drugą stroną na mapie, to zamiast iść w prawo, musisz pójść w lewo.

Ruszyłem z miejsca, lecz zawahałem się, nagle coś sobie uświadamiając: mapa tylko teoretycznie była do góry nogami. Gdy przyjrzałem się jej przed wyjściem z domu, odwróciłem ją, żeby zgadzała się ze stronami świata, więc wszystko było w porządku: nie miałem iść w lewo, tylko w prawo.

Zawróciłem i natychmiast wpadłem na starszą kobietę, która z błyskiem szaleństwa w oczach pchała przed sobą wózek pełen szmat:

— Uważaj jakleziesz pęta! — wrzasnęła i podreptała w kierunku, z którego przyszedłem.

Po zaledwie kilku krokach znów przystanąłem. Czy aby na pewno odwróciłem mapę? Może jednak nie? Może właśnie za pierwszym razem miałem rację?

Znów chciałem zawrócić; zastanowiłem się, cofnąłem i gdy byłem bliski podjęcia ostatecznej decyzji, ktoś odezwał się za moimi plecami.

— Mógłbyś się wreszcie zdecydować.

To był głos dziewczyny — słodki i czysty, jak klejnot błyszczący w rynsztoku. Nie mówiła szczególnie głośno — nie krzyczała ani nie wrzeszczała — a mimo to zdołała przebić się przez otaczający chaos i zgiełk i przyszpilić mój umysł niczym ostrze noża. Odwróciłem się, szukając jej w morzu opływających mnie falami rozmytych twarzy. Stała w drzwiach do apteki, opierając się o ścianę. Uśmiechała się do mnie. Był to jeden z tych uśmiechów, które drążą ci dziurę w sercu — usta, białe zęby, błyszczące oczy...

Boże, jak ona się uśmiechała!

Stałem jak zaczarowany. Nie byłem w stanie się poruszyć. Mogłem tylko trwać i wpatrywać się w nią, we wszystko naraz: jej twarz, usta, policzki, ciemne migdałowe oczy. Jej szyję, nogi, figurę. Białą skórę. Błysk kasztanowych włosów związanych w kucyk...

Boże... jej skóra...

Miała na sobie minispódniczkę i luźną, krótką bluzeczkę, odsłaniającą skrawek nagiego brzucha, którego widok

odebrał mi mowę. Szminka, tusz do rzęs, bransoletki na nadgarstku, skórzana opaska na ramieniu, srebrny krzyżyk na szyi, czarne skórzane buty...

Nie wiedziałem, jak się zachować.

Co powinienem zrobić?

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale zaschło mi w gardle. Musiałem wyglądać jak chory umysłowo. Wytarłem dłonią usta i znów na nią spojrzałem, gorączkowo zastanawiając się, jak ją zagadnąć, ale miałem pustkę w głowie. Odwróciła się, zerknęła w bok, a potem znów się uśmiechnęła i spojrzała na mnie.

— Fajna czapka — powiedziała.

Machinalnie dotknąłem jej dłonią. Była zupełnie nowa, wełniana, czarna, z wzorem ze złotych gwiazdek wokół. Naprawdę mi się podobała. Z czapkami jest jednak taki problem, że czasem wysyłają niewłaściwe sygnały. Ludzie mogą pomyśleć, że chcesz się wyróżnić, popisać, że udajesz gangstera, kogoś, kim nie jesteś. Nie wiem... może to coś we mnie, może jestem paranoikiem. Doskonale wiem, że to nie ma najmniejszego znaczenia, bo to przecież, do diabła, tylko czapka! A poza tym, kogo obchodzi, co pomyślą ludzie?

Najwyraźniej mnie nie.

Głowy dotknąłem zupełnie odruchowo, a nie dlatego, że ona coś powiedziała na temat mojej czapki. Czulem, że nie chciała być złośliwa. To miał być komplement.

Podobała jej się moja czapka.

Nie miałem wątpliwości.

I co odpowiedziałem?

— Eee... no tak.

Właśnie to.

Eee... no tak.

Powalające, no nie?

Musiałem jej zaimponować, nie ma co.

Wyluzowany na maksa.

A ona chciała sobie pójść. Zwinęła małą reklamówkę, poprawiła torebkę, odsunęła się od ściany i zeszła ze stopnia, na którym stała — tak po prostu. Odchodziła. Kołysanie bioder, krótki uśmiech przez ramię... po czym odwróciła głowę i zniknęła w tłumie.

Nie!

Poczekaj...

Nie...

Ale było za późno.

Zniknęła.

Cholera.

Stałem tam jeszcze chwilę, patrząc za nią, przypominając sobie całą sytuację, sekunda po sekundzie. To naprawdę się zdarzyło, powtarzałem w myślach. Nie wymyśliłem tego. To się stało. Była tu... ale już jej nie ma. Była tu...

Ale już jej nie ma.

Więc daj sobie spokój.

To nic takiego, prawda? Pewnie i tak nie mówiła do ciebie, tylko do znajomego; do kogoś, kto stał za tobą... tak, pewnie tak właśnie było.

Nic dziwnego, że odeszła.

Pomyśl rozsądnie.

Rozmawia z kimś, widzi dzieciaka w głupiej czarnej czapce z trzema iksami z przodu, który gapi się na nią z otwartymi ustami i wywieszonym językiem... i ślini się jak idiota...

Jak myślisz, co powinna zrobić?

Poprosić cię do tańca?

Pokręciłem głową i ruszyłem przed siebie, starając się już o niej nie myśleć — o tym, jak stała, jak na mnie patrzyła, jak z uśmiechem przechyliła głowę, jak delikatnie zmarszczyła się jej skóra w talii, niczym delikatne fale na jeziorze...

Joe, do diabła...

Weź się w garść, dobra?

Tłum pieszych uniósł mnie ze sobą, a ja nie wiedziałem nawet dokąd. Zacząłem się rozglądać, chciałem się wydo-

stać, ale zbyt wiele ludzi pędziło w tę samą stronę; ktoś zaklął, ktoś inny krzyknął, że tamuję ruch, potem dostałem kiksa w plecy. W końcu pomyślałem, że pewnie i tak wszyscy idą w tę stronę co ja, więc już bez oporu poddałem się prądowi.

Przeszliśmy przez ruchliwą ulicę, zwolniliśmy na wysepce i ruszyliśmy na drugi brzeg. Kiedy tłum się rozdzielił, udało mi się odejść na bok. Stałem za skrzynką pocztową, rozejrzałem się dookoła, próbując ustalić, gdzie ja w ogóle jestem. Widziałem jakieś skrzyżowanie, kolejną wysepkę, jeszcze jedno skrzyżowanie, kilka barów, bank, parę kafejek, kantor, całe mnóstwo brudnych sklepików — i dokładnie przede mną Pentonville Road. Właśnie to, czego szukałem. Musiałem tylko przejść skrzyżowanie i iść prosto jakieś pół mili. I już. Najwyżej dziesięć minut drogi. Byłem umówiony dopiero na wpół do ósmej, a była za kwadrans siódma. Miałem chwilę. Uświadomiłem sobie, że od lunchu nic nie jadłem.

Po drugiej stronie był McDonald's.

Świetnie, tam będę mógł kupić coś do zjedzenia, posiedzieć kilka minut...

Usiąść przy oknie.

Popatrzeć na ulicę.

Obserwować stację.

Dobry pomysł... Ale to nie będzie wyglądało, jakbym czekał na kogoś konkretnego, prawda? Nie będę chyba wyglądał jak gapowaty dzieciak z problemami hormonalnymi...

Nie, posiedzę po prostu, zjem hamburgera, spoglądając od niechcienia przez okno, zabijając czas...

Nie ma w tym przecież nic złego.

W środku panował tłok, większość stolików była już zajęta, a przy ladzie ciągnęły się kolejki klientów — dzieciaki, starsze pary, jacyś twardziele w kapturach i łańcuchach...

stanąłem na końcu i zacząłem analizować zestawy na tablicy. Właściwie nie wiem po co, i tak ich nie rozumiem — McZestawy, powiększone McZestawy, promocyjne McZestawy, dwie sztuki czegoś za 99 pensów, średnie to plus średnie tamto... to dla mnie zbyt skomplikowane. I tak zawsze biorę to samo: cheeseburgera i czarną kawę.

Ludzie przede mną posunęli się naprzód.

Kobieta, za którą stałem, chyba pomyślała, że w kolejce obok będzie szybciej. Widziałem, jak się napina, jak rozważa swoje szanse, analizuje prędkości... Zawahała się, zmieniła zdanie, podjęła decyzję. Kiedy stanęła obok, zająłem jej miejsce, ale wtedy ona znów zmieniła zdanie i wcisnęła się przede mnie.

Cofnąłem się i zacząłem szukać po kieszeniach pieniędzy. Tata dał mi rano 20 funtów, nie zdążyłem wydać wszystkiego.

— Tylko koniecznie coś zjedz — nakazał. — I jeśli będziesz późno wracał, weź taksówkę ze stacji.

Spojrzał na mnie tym swoim wzrokiem, który mówił: Nie zamierzam cię pouczać, bo sam wiesz, co masz jeść i na co wydawać moje pieniądze... w końcu jesteś na tyle dorosły, żeby zachowywać się odpowiedzialnie, prawda?... Ja tylko chcę móc ci ufać... więc mnie nie zawieź, okej?

Na moment stanęła mi przed oczyma jego wydłużona, poszarzała i poważna twarz i zastanowiłem się, jak zresztą już nieraz wcześniej, dlaczego wydawał mi się taki obcy... taki odległy? Czasem miałem wrażenie, że to nie jest mój ojciec, tylko wysoki siwy mężczyzna, który nazywa siebie doktorem Beckiem, mieszka w tym samym domu co ja i mówi mi, co mam robić.

Wymacałem w kieszeni ciasno złożony pięcioletni banknot i, wyciągając go, zahaczyłem brzegiem o podszewkę, wyrzucając na podłogę garść drobnych monet. Uderzyły o posadzkę — brzdęk-brzdęk-brzdęk — i jak szalone potoczyły się w różnych kierunkach. Oczywiście wszyscy

natychmiast umilkli i obrócili się, obserwując toczące się monety. Boże, czy musiały upaść aż tak daleko? Niektórzy przydeptywali je butami, inni podnosili, ale większość miała wszystko gdzieś. Zlustrowali wzrokiem sprawcę zamieszania, niezgrabnego chłopaka w czarnej czapce, pokręcili głowami, i nie poświęcając mi już więcej uwagi, powrócili do swoich zajęć.

Na samo wspomnienie zaczynam się czerwienić.

Wiedziałem, że powinienem coś zrobić, ale nie chciałem. Nie miałem ochoty biegać na czworakach i szukać dziesięciopensówek. Z jednej strony nie chciałem, żeby wszyscy się znów zaczęli na mnie gapić, a z drugiej wiedziałem, że jeśli nie zacznę ich zbierać, wszyscy pomyślą, że jestem paskudnym, rozwydrzonym bachorem z nadzia-nyimi rodzicami, który nie ma co robić z kasą, a już na pewno jej nie szanuje. Wyobraziłem sobie to — patrzcie no, co on sobie myśli, że kim jest, co? Rzuca pieniędzmi po podłodze i ich nie zbiera...

Znów nie wiedziałem, jak powinienem się zachować.

Żałowałem, że w ogóle tam wszedłem.

Wreszcie zdecydowałem się na kompromis: pozbieram wszystkie monety w zasięgu wzroku, potem rozejrzę się, jakbym szukał pozostałych, wzruszę ramionami i spokojnie wrócę do kolejki. Może nawet mógłbym strzelić jakiś uśmiešek... taki autoironiczny grymas, coś w rodzaju: ech, sam nie wiem, co się ze mną dzieje? Ale ze mnie fajtłapa...

Właśnie zabierałem się do wypróbowania tej miny, kiedy podeszła młoda kobieta i wręczyła mi jednofuntową monetę.

— Dzięki — powiedziałem.

Uśmiechnęła się i wskazała na drugi koniec pomieszczenia:

— Tam leży jeszcze jedna.

— Aha — powiedziałem, patrząc z niepokojem na siedzących tam czarnoskórych facetów — ogolone, ciasno ob-

wiązane chustami głowy, niebezpieczne oczy. Jeden z nich spojrział na mnie tak, że zmroziło mi krew w żyłach. — Eee... dzięki — powiedziałem. — Później po nią pójde.

Wzruszyła ramionami i wróciła do kolejki. Spuściłem oczy, czując na sobie wzrok czarnych typków. Chyba zacząłem się czerwienić, a po skroni pociekła mi strużka potu — wtedy ktoś trącił mnie w ramię.

— Chcesz, żebym po nią poszła?

Byłem zbyt zdenerwowany, by rozpoznać jej głos. Myślałem, że to po prostu kolejna ciekawska, jeszcze jeden dobry Samarytanin, wtykający nos w nie swoje sprawy, pogarszając tylko sytuację. Westchnąłem i odwróciłem się z gotową odpowiedzią: dzięki, ale obejdzie się...

Wszystkie słowa wyleciały mi z głowy.

Wszystko zniknęło.

To była ona. Dziewczyna ze stacji. Dziewczyna z tamtym uśmiechem, skórą, z tamtym spojrzeniem...

— Nie są tak źli, na jakich wyglądają — powiedziała.

Chciałem zapytać, o kim mówi, ale zaschło mi w ustach. Bezgłośnie poruszyłem wargami i znów poczułem się jak niespełna rozumu.

Uśmiechnęła się.

— Ci goście przy stoliku... nie są tak straszni, jak się wydają. Oddadzą ci twojego funciaka.

— Aha — wyjąkałem.

Popatrzyła na mnie.

Czułem, jak tonę w jej oczach.

Ze śmiechem pokręciła głową, odwróciła się i pomaszlowała prosto do stolika, zajmowanego przez czarnoskórych facetów. Patrzyli, jak się zbliża. Podeszła, uniosła dłoń i powiedziała coś do jednego z nich. Ten wzruszył ramionami, pokazał puste dłonie, potem uśmiechnął się i coś odpowiedział. Ona roześmiała się, musnęła jego ramię i podniosła monetę. Gdy się pochylała, jej spódniczka podjechała w górę, a chłopaki wychylili się, by lepiej widzieć. Jeden

z nich zamknął oczy i teatralnie potrząsnął głową, jakby nie mógł znieść takiego widoku.

Dziewczyna wyprostowała się, kiwnęła do nich ręką i wróciła.

— Proszę bardzo — powiedziała, podając mi funta.

— Dzięki — odparłem — ale nie musiałaś...

— Nie ma sprawy.

— Ja tylko... zamierzałem...

Położyła mi dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się.

— Twoja kolej.

— Co?

Kiwnęła głową, wskazując ladę.

— Twoja kolej, wszyscy czekają.

Rozejrzałem się. Byłem pierwszy przy kasie. W jakiś sposób znalazłem się na początku kolejki i zupełnie tego nie zauważyłem. Stojący za ladą wysoki chudzielec z opadającą grzywką wbił we mnie wyczekujący wzrok.

— Słucham? — zapytał.

— Eee... sekundka. Proszę o eee... wezmę... mhm... —

Znów gapiłem się na tablicę i nic na niej nie widziałem, patrzyłem w górę, bo nie wiedziałem, gdzie podziąć wzrok, a potrzebowałem czasu do namysłu, by zebrać odwagę do tego, co chciałem powiedzieć. Musiałem tak stać ze sto lat, gapiąc się niewidzącymi oczyma na rozświetlone menu, na bezsensowną plamę rozmazanych obrazów i słów, z sercem bijącym jak zwariowany zegar, pompującym krew i tlen do mięśni, komórek, żył... Powoli wracała mi świadomość. Naprawdę dziwnie się czułem. Umysł pracował na najwyższych obrotach, a mimo to miałem pustkę w głowie. Rozróżniałem wszystko: każdy punkcik i każdy ruch, ale nic nie miało sensu. Cisza w głowie była ogłuszająca.

Wreszcie wziąłem głęboki oddech, mocno przełknąłem, pomyślałem, że raz kozie śmierć i zwróciłem się do dziewczyny:

— Chciałabyś coś zjeść?

Uśmiechnęła się.

— Myślałam, że nigdy nie zapytasz.

Znaleźliśmy stolik przy oknie, sprzątnęliśmy śmieci i usiedliśmy. Ja zamówiłem to, co zwykle, a ona czekoladowego pączka i dużą colę z toną lodu. Patrzyłem, jak stawia kubek na blacie, pochyla się i łapie ustami słomkę.

— Może masz ochotę na coś jeszcze? — zapytałem.

Pokręciła głową, łakomie łykając napój z buzią dziecka skoncentrowanego na nowej zabawce. Odwinąłem hamburgera i zabrałem się do jedzenia. Nie czułem już głodu, ale musiałem czymś zająć ręce. Trudno ukryć nerwowe ruchy dłoni, gdy nie ma co z nimi robić. Żułem i przelykałem, ocierałem usta z sosu, zerknąłem na zegarek...

— Jesteś z kimś umówiony? — zapytała.

— Niezupełnie — odparłem.

— Słucham?

Zakrztusiłem się kawałkiem sałaty, zdając sobie sprawę, jak idiotycznie zabrzmiała moja odpowiedź. Niezupełnie. Powiedziałem, że niezupełnie jestem z kimś umówiony. A niby jak, do diabła, miałbym niezupełnie się z kimś spotkać, co?

Boże...

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Tak... Idę — ekh, ekh — przepraszam. Idę do lekarza.

— O co chodzi?

— Pytałaś, czy jestem z kimś umówiony...

— No i?

— Jestem umówiony do lekarza.

— Aha, myślałam, że idziesz do lekarza przez ten kaszel.

— Nie... ja tylko... zakrztusiłem się.

— No — kiwnęła głową, uśmiechając się do siebie — w takim razie wyjaśnione.

— Tak...

Znów popiła coli, a ja zebrałem kilka okruszków hamburgera, a potem nerwowo bawiłem się serwetką, składając ją, zwijając, wycierając palce, wsłuchując się cały czas w słodkie urywane siorbnięcia z drugiej strony stolika. Po chwili jednocześnie unieśliśmy wzrok i zaczęliśmy mówić:

— Dokąd...?

— Ja zwykle nie...

— Przepraszam — powiedziałem. — Ty pierwsza.

Uśmiechnęła się.

— Chciałam cię zapytać, dokąd tak naprawdę idziesz. Nie słyszałam o żadnych lekarzach w okolicy.

— Pentonville Road — wyjaśniłem. — To prywatny gabinet...

Uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: Prywatny, tak? No, no, no... Ale nic nie powiedziała, tylko kiwnęła głową i odgryzła kawałek pączka.

— Mój ojciec jest lekarzem — tłumaczyłem. — Zna innych lekarzy, wiesz, jak to jest, znajomi znajomych...

— No pewnie — powiedziała z pełnymi ustami.

— Czasami jest to całkiem przydatne...

— Co ci jest?

Podciągnąłem rękaw i pokazałem jej torbiel na nadgarstku.

— Faj! — powiedziała. — Co to?

— Nic takiego... tylko torbiel, nazywa się ganglion.

Roześmiała się, wypluwając kawałki czekolady.

— Ganglioco?

— Ganglion... to coś ze ścięgna... — Usiłowałem sobie przypomnieć, co powiedział mi tata. Wszystko mi wytłumaczył, rysując małe obrazki, ale nie słuchałem go uważnie. — Ma to coś wspólnego z płynem z mięśni — powiedziałem jej — który jakoś wypływa i tworzy tę torbiel...

— Czemu?

— Co czemu?

— Czemu wypływa?

— Nie wiem.

Skończyła jeść pączka i zajmowała się teraz wydobywaniem kostek lodu z coli i wkładaniem ich do buzi.

— A twój tata nie może się tym zająć? — zapytała. — Mówiłeś, że jest lekarzem.

— Nie jest lekarzem od tego.

— A od czego?

Zaczerwieniłem się jak zwykle, gdy pojawia się to pytanie.

— Jest... hmm... jest ginekologiem.

Nie roześmiała się, nie uśmiechnęła znacząco, ani nie robiła żadnych dowcipów. Po prostu rozgryzła lód i spojrzała na mnie.

— Ginekologiem?

— Tak... ten drugi lekarz, ten, do którego jestem umówiony, jest specjalistą...

— Specjalistą od torbieli?

— No właśnie — odpowiedziałem z uśmiechem.

Wyraz jej twarzy całkiem się zmienił na widok mojego uśmiechu. Nie myślałem, że coś takiego jest możliwe, ale wyglądało to niemal tak, jakby odrzuciła warstwę skóry, odsłaniając inną, jeszcze piękniejszą twarz, dotąd ukrytą za maską.

— Pierwszy raz się uśmiechnąłeś — powiedziała, spoglądając mi prosto w oczy. — Powinieneś robić to częściej. Masz naprawdę ładny uśmiech.

Myślałem, że głowa mi eksploduje pod naciskiem takiego komplementu, więc spuściłem wzrok. Zaczerwieniłem się do tego stopnia, że niemal czułem, jak skwierczy mi skóra na twarzy.

— Przepraszam — powiedziała cicho. — Nie chciałam cię zawstydzić. Nie podrywam cię, ani nic w tym stylu, chciałam tylko powiedzieć... no wiesz, że masz ładny uśmiech, to wszystko. Bo to prawda. — Zawahała się. — Wolałbyś usłyszeć, że jest na odwrót?

Spojrzałem na nią, wykrzywiając twarz w uśmiechu.

— Tak lepiej — powiedziała. — A tak w ogóle, mam na imię Candy.

— Joe — przedstawiłem się. — Joe Beck.

Kiwnęła głową.

— Dzięki za paczka, kaleki Joe.

— Proszę bardzo.

Patrzyliśmy na siebie, uśmiechając się jak wariaci, aż wreszcie nie wytrzymałem i ukryłem wzrok w kubku z kawą.

Candy się roześmiała.

— Co? — zapytałem.

— Ty.

— Co ja?

— Nic...

Nie przestając chichotać, sięgnęła do małej czarnej torebki i wyjęła paczkę papierosów. Wsunęła jednego do ust i zapaliła jednorazową zapalniczką.

Nie mogłem ukryć zdziwienia.

— Przepraszam — powiedziała, kierując paczuszkę w moją stronę — poczęstuj się.

— Nie... nie, dzięki, nie palę. — Rozejrzałem się wokół z niepokojem. — Jesteś pewna, że tu wolno palić?

Nic nie odpowiedziała, tylko wzruszyła ramionami, wydychając dym i strzepując popiół do papierka po paczku. Omiotła spojrzeniem salę, czarnoskórych typów, a potem wyjrzała przez okno na ulicę i stację. Następnie znów zaciągnęła się papierosem i popatrzyła na mnie. Jej oczy się zaśmiały, gdy spojrzała na czapkę.

— Nigdy się z nią nie rozstajesz?

— Czasem...

— Jest fajna.

— Dzięki.

— Czemu jej nie zdejmiesz?

— Co?

— Ściągnij ją... chcę zobaczyć, czy reszta twoich włosów jest tak samo potargana jak te, które widzę.

Z jakiegoś powodu znów zacząłem czuć się niepewnie.

— Cóż — powiedziałem — niedługo będę leciał... właściwie to już jestem spóźniony.

Nie przestawała na mnie patrzeć.

Westchnąłem i zdjąłem czapkę.

Na widok mojej fryzury otworzyła szeroko oczy.

— Wow! To się nazywa nieład... Jak do tego doszedłeś?

— Nie było łatwo... Długie lata starannej hodowli.

Roześmiała się.

— Nie żartuję — zapewniłem. — Cały trik z rozczochranymi włosami polega na tym, by sprawić, by były rozczochrane, ale tak, żeby nie wyglądały, jakby miały być rozczochrane.

— W każdym razie, niezła robota.

— Dziękuję bardzo.

— Proszę bardzo.

Tym razem nie spuściłem wzroku. Po prostu uśmiechnąłem się szeroko i odsunąłem hamburgera. Był już zimny. Zimny i zapomniany, ale nic mnie to nie obchodziło. Komu potrzebna kanapka podczas rozmowy z piękną dziewczyną? Uświadomiłem sobie, że ja naprawdę z nią rozmawiam. Nie siedzę tylko, mamrocząc coś i czerwieniąc się ze wstydu, ale rzeczywiście rozmawiam. No i przede wszystkim zaczynałem dobrze się bawić, co było trochę dziwne, bo nigdy nie czułem się pewnie podczas rozmów z dziewczynami. Dotąd byłem nerwowy, roztrzęsiony, zagubiony... zwłaszcza w przypadku tych, które mi się podobały. A Candy mi się podobała. I to bardzo. Podobał mi się jej wygląd — jej twarz, jej oczy, jej nogi, jej skóra — i jej zapach — mydła i talku. Zachwyciło mnie wszystko, co miało z nią związek. Przy niej czułem się inaczej. Sprawiała, że jednocześnie robiło mi się gorąco i ogarniał mnie chłód. Rozpala-

ła mnie i wywracała moje ciało na lewą stronę. Dotychczas zawsze byłem w takich sytuacjach do tego stopnia zmieszany, że traciłem kontakt z rzeczywistością i nie wiedziałem, co się w ogóle ze mną dzieje... tym razem czułem wszystko. Boże, i to jak! To było wspaniałe, jak przyływ czystej adrenaliny...

Oczywiście nie znaczy to, że nie byłem nerwowy, roztrzęsiony i niepewny siebie, bo byłem. Mówiąc szczerze, byłem śmiertelnie przerażony — przerażony, nieufny i niezdolny do podania ani jednego powodu, dla którego ta zachwycająca dziewczyna siedziała i rozmawiała akurat ze mną. Dlaczego nie rozmawiała z kimś innym? Z kimś starszym ode mnie albo mądrzejszym ode mnie, wyższym, bardziej cool...?

Czemu ja?

Co miałem do zaoferowania?

Staralem się o tym nie myśleć.

Bo czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

Oparła łokieć na stole, podłożyła dłoń pod brodę, paliła papierosa i leniwie rozglądała się po lokalu. Na filtrze zostawiła purpurowy ślad szminki. Jej oczy błyszczały ciemno, wilgotne od czarnego cienia do powiek i tuszu, i mimo że wyglądały niesamowicie ładnie, miały w sobie coś niepokojącego. Dopiero po chwili zorientowałem się, że chodziło o jej źrenice. Były zmniejszone, jak małe czarne dziurki, skurczone i puste. Ciemne punkciki.

— Co masz na palcach? — zapytała nagle.

— Co?

— Na palcach.

Spojrzałem na swoje dłonie.

— Gdzie?

— Tutaj — powiedziała, dotykając opuszków mojej lewej ręki. Zesztywniałem. Jej dotyk był elektryzujący, gorący i zimny, nigdy nic podobnego nie czułem. — Coś nie tak? — zapytała, nie puszczając moich palców.

— Nic...

— Boli?

— Nie...

— Co to takiego?

Znów spojrziałem na dłonie, uświadamiając sobie nagle, o co jej chodzi.

— A, to — powiedziałem. — To tylko takie stwardnienia... od grania na gitarze.

— Grasz na gitarze?

Kiwnąłem głową.

Popatrzyła na mnie uważnie.

— Jesteś w tym dobry?

— Nie wiem. Chyba nie najgorszy...

— Palce robią się takie od grania na gitarze?

— Tak, od przyciskania strun.

— Na jakiej grasz?

— Głównie na basie.

— Serio? Jesteś w jakimś zespole?

— No... — Znów poczułem się zawstydzony. — Tak jakby...

— Co to znaczy: tak jakby?

— Tak, jestem w zespole.

— W prawdziwym zespole? Dajecie koncerty i w ogóle?

— Tak.

— Serio?

— Ale raczej w sąsiedztwie. W pubach i klubach, szkołach...

Nigdy nie lubiłem o tym mówić. Czuję się wtedy trochę zakłopotany — tak, gram w zespole, wiesz... — jakby bycie w zespole było jakimś niesamowitym osiągnięciem. Nie miałem nic przeciwko samemu graniu w zespole, uwielbiałem to, tylko po prostu nie lubiłem o tym mówić. Zawsze wtedy czułem się nieswojo, a podczas rozmowy z Candy i tak nie byłem sobą, więc nie chciałem już pogarszać sytuacji. Wciąż dotykała opuszków moich palców, dra-

piąc je delikatnie paznokciami, co było przyjemne, ale zaczynało stawać się zbyt przyjemne...

— Jakieś płyty?

— Żadnych.

— Jak się nazywacie?

Zawahałem się.

— No dalej — drażyla — może o was słyszałam.

— Wątpię: nazywamy się „The Katies”.

— „The Katies”? Od imienia?

— Tak.

— A skąd taki pomysł?

Delikatnie wyswobodziłem dłoń i otarłem kroplę potu z wargi.

— Wcześniej nazywaliśmy się: „Kate’s bored”.

— „Bored”, jak „znudzona”?

— Tak, właściwie chodziło nam o słowo „skateboard”.

Wyglądała na całkowicie zbitą z tropu.

— Skateboard, czyli deskorolka — powiedziałem. — Taka gra słów: skateboard — Kate’s bored...

— Aha. Ale co ma deskorolka wspólnego z wami?

— Gramy muzykę dla deskorolkowców...

— Szybka i punkowa?

— Coś w tym stylu. — Odzyskałem obie ręce i poczułem się znacznie swobodniej. — Gdy zaczynaliśmy, szukaliśmy dla siebie nazwy — wyjaśniłem — i wtedy ktoś wymyślił „Kate’s bored”. Wiem, to tragicznie głupie, ale nic lepszego nie przyszło nam do głowy.

— A potem skróciliście to do „The Katies”?

— Właściwie to inni zaczęli nas tak nazywać.

— Kto?

Wzruszyłem ramionami.

— Dzieciaki, które przychodzą nas oglądać.

— Macie fanów?

— Nie takich prawdziwych... to paczka znajomych, którzy wszędzie się za nami włóczą.

— Super! To musi być wspaniałe.

— Tak, jest fajnie. To znaczy, nie płacą nam zbyt wiele, w każdym razie jeszcze nie. Niedługo mamy duży koncert...

Wtedy urwałem. Candy już mnie nie słuchała. Siedziała wyprostowana i szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w coś za mną.

— Wszystko w porządku? — spytałem. — Co się stało?

Wydawała się mnie nie słyszeć. Zastygła w bezruchu, z całkowicie pobladłą twarzą.

— Cholera — powiedziała cicho.

— Co? Co jest?

— Nie odwracaj się — wyszeptała, pospiesznie zapalając kolejnego papierosa. — I nic nie mów. Udawaj, że wiesz, o czym mówię, okej?

— Co? O czym ty...

— Proszę — syknęła, znów patrząc gdzieś za mnie. Uśmiechała się teraz, ale nie tym uśmiechem, który poznałem. To był grymas strachu.

Trzęsły jej się ręce.

Drżały usta.

Wtedy na stolik padł cień — i powiało chłodem.